

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 15 LISTOPADA 1930 ROKU

NR. 46

ANDRZEJ STRUG

39)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Rita ani jednym słowem nie wspomniała nigdy o tem, co zaszło między nimi i Claude przypuszczał, że się to zatarło w jej chorej pamięci. Zdawała się nie pamiętać i o odwiedzinach sternika, ale od tego dnia przestała mówić o mężu. Była spokojna i cicha, a Claude'a witała zawsze dobrym uśmiechem. Dużo rozmawiali i dużo ze sobą milczeli. Ojciec dotrzymywał im czasami towarzystwa, ale przeważnie siedział na dole w swoim gabinecie. Nie pisał już memoriałów, ani listów, nie czytał swoich grubych tomów ani nawet gazet, nikogo nie przyjmował, wyłączył telefon. Dnie upływały mu na wypalaniu mnóstwa cygar i na ciężkich, stękających westchnieniach, myśli płynęły leniwie, krążąc, błądząc i wracając wiecznie do smutków jego życia. Po parę razy na dzień otwierał i wysuwał środkową szufladę biurka, gdzie przechowywał ważniejsze papiery, jakby zamierzał nareszcie zabrać się do pracy. Ale po chwili, nieraz po półgodzinie namysłów, zamykał szufladę i szedł na górę do Rity. W godzinach poobiednich zawsze zastawał tam „tego nieocenionego Ossiana”, który przesiadywał u Rity do późnego wieczora. Wówczas po paru chwilach rozmowy zostawiał ich samych i wracał do siebie, znowu otaczał się kłębam dymu, wzdychał, wysuwał i zasuwał szufladę.

Był bankrutem.

Los go wyniósł wysoko, zaznał sławy i władzy. Dał ojczyźnie nową broń, wydobył z zapomnienia archiwów chemji starą substancję lotną i genialnym rzutem myśli zamienił ją na straszliwy środek walki. Długą pracą, po niezliczonych próbach i zawodach zbudował przemysłne aparaty i wygotował plan produkcji na kolosalną skalę. Potem musiał ciężko walczyć z rutyną i ignorancją czynników decydujących o wprowadzenie w czyn swego odkrycia. Wreszcie zwyciężył. Pamięta chwilę, gdy z zakładów w Leverkusen wyjeżdżał na front pierwszy pociąg z nowymi pociskami, nacechowanymi znakiem żółtego krzyża. Pamięta gorączkowe tygodnie oczekiwania na pierwsze wyniki masowego działania pocisków na placu boju. Wreszcie depesza ze szlaku XVII armji — Żółty Krzyż przeszedł wszelkie nadzieje, dokonał przewrotu, rzucił panikę na nieprzyjaciela...

Pismo Sztabu Sanitarnego Głównej Kwatery — Żółty Krzyż dał wyniki przepiękne. Badania przeprowadzone na dwustu piętnastu jeńcach angielskich porażonych i porzuconych na placu boju okazały nader głębokie urazy poparzeniowe poprzez zimowe ubranie, nawet skroś grube podeszwy obuwia. W 15,5% wypadków wyjątkowo szczęśliwych poparzenie docho-
dzi do kości, wywołując cięższe cierpienia przewlekłe,

pozwalające rokować nadzieje na wynik śmiertelny. Przeżarcie krtani, płuc i dróg oddechowych w 19,1% nader skuteczne. Z materiału, zostającego pod obserwacją, zaznaczono 13,7% ślepoty, niestety czasowej, przechodzącej w ciągu 5 — 12 dni...

Powinszowania, wizyty znakomitych osób, listy gratulacyjne. Siedem uniwersytetów mianuje go profesorem honorowym. Wywiady, reporterzy, fotografie we wszystkich gazetach: — Ojciec narodu, profesor Otton Wager — twórcą zwycięstwa... Wielka wstęga orderu Orła Pruskiego... Pismo odręczne cesarza wisi na ścianie w złotej ramie... Na biurku stoi pamiątkowa łuska z 10-cio centymetrowego wystrzelonego pocisku z napisem „Od wdzięcznych oficerów i żołnierzy VI-ej armji. Chemin des Dames 17 lipca 1917 roku. Temu, który odwraca śmierć od swoich i razi nią wroga”.

Laury, laury... Nie czas spoczywać we chwale, gdy ważą się losy ojczyzny. Profesor Wager zagrzebał się w pracowni, zgromadził koło siebie zastęp najzdolniejszych specjalistów i oddał się pracowitemu marzeniu nad wykryciem w tajemnych odmętach chemji nowego związku, któryby przeżerał i truł idealnie żywe tkanki człowieczego ciała, szerzył rany i śmierć w najszerszym zasięgu przestrzeni i trwał w swej mocy przez całe miesiące na miejscu rozpylenia.

Żaden poeta, marzący dzieło swoje we wniebowzięciu natchnienia, nie przeżywał tak upajająco samotnych godzin i dni jego poczęcia, jak profesor Wager, gdy rodziły się w nim pierwiastki i zarysy tej nowej siły niszczącej, jakiej przez stulecia morderstw i okrucieństw nie zaznała jeszcze ludzkość. Opętała go wizja błyskawicowo szybkiego zwycięstwa i twardego pokoju, który Niemcy nałożą na świat, jak jarzmo. Czyż na to trzeba cudu? Nie, trzeba tylko odnaleźć rozproszone składniki nieistniejącego jeszcze związku i drogą mozolnych oddziaływań, przetworzeń i reakcji, ceną zbiorowej pracy setek badaczy spojć je w wyraz — jedyny i niepowtarzalny pośród nieskończonej liczby możliwości. A na tej drodze ileż może być trafów i niespodzianek? Może tuż za progiem poszukiwań w pierwszych fazach pracy wpadnie w ręce tego czy innego najskromniejszego bodaj badacza pierwszy ślad zagadki, początek nici przewodniej do szczęścia Niemiec i wówczas orle oko starego Wagera dostrzeże i uchwyci moment cudu. Profesor wierzył niezłomnie i nałożył na siebie dyscyplinę mądrej cierpliwości, a gdy czas się przewlekał, kiedy z przemęczenia nadchodziły godziny zwątpienia, krzepił się i podniecał wyczerpane nerwy wizją wyobraźni.

..Pewnego dnia stacja iskrowa w Königswüstenhausen rzuca w przestrzeń świata ultimatum Głównej Kwatery niemieckiej. Armje zachodniego frontu, francuska, angielska, belgijska, portugalska złożą broń, zapasy, zostawią na miejscu baterje, amunicję, magazyny i w ciągu trzech dni odejdą na odległość pięćdziesięciu kilometrów w tył od ostatnio zajmowanych pozycji. To samo uczyni armja włoska. To samo armja na Bałkanach. To samo uczynią wojska koalicyjne nad Suezem, w Syrii, w Mezopotamji. Floty mocarstw sprzymierzonych w przeciągu trzech dni zatopią lub zniszczą swoją amunicję i wydadzą mapy wszystkich swoich pól minowych...

I tak dalej...

Główna kwatera niemiecka stawia powyższe ultimatum kapitulacji z pobudek humanitarnych dla oszczędzenia niezliczonych ofiar zarówno w szeregach armji na froncie, jak wśród ludności cywilnej na tyłach, zwłaszcza w stolicach i głównych ośrodkach krajów koalicji. W wypadku pozostawienia bez odpowiedzi powyższego ultimatum Główna Kwatera armji niemieckich w polu po upływie wyznaczonych trzech dni zostawia sobie całkowitą swobodę działania w użyciu nowych środków zniszczenia przeciwnika dla niezwłocznego zakończenia wojny.

Bezprzykładne orędzie groźby doprowadza do obłędu mężów naczelnych koalicji, dociekających przedewszystkiem autentyczności tego dokumentu. Ustalono, że zapewne telegrafista centralnej stacji niemieckiej zwarjował, lub też puścił się na kolosalną mistyfikację. Ale tego samego dnia wszystkie dzienniki niemieckie umieszczają ultimatum. Agencje prasowe roznoszą je po całym świecie. Mija pierwszy dzień.

Nazajutrz chmara lotników rozrzuca na froncie i na tyłach miliony egzemplarzy płomiennej odezwy ostrzegającej. Naród niemiecki do narodów strony przeciwnej... Domagajcie się zawieszenia broni! Nie zmuszajcie nas do użycia przeciwko wam straszliwej broni, przed którą wzdryga się dusza niemiecka! Inaczej zginą miliony żołnierzy na froncie, wyludnią się wasze stolice i obrócą się w pustynie...

Zamęt, panika. Upływa drugi dzień. Nareszcie koalicja reaguje na wyzwanie. Rządy, naczelne dowództwa, gazety zieją szyderstwem, nakazują spokój. Nic nam nie grozi. Prostu Niemcy uciekły się do rozpaczliwego środka — zastraszenia przeciwnika przez niebywałą w dziejach świata absurdalną mistyfikację, graniczącą z szaleństwem... Czekajmy spokojnie jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny, a uśmiejemy się dowoli, wraz z nami będzie się śmiał cały świat, prócz Niemców i ich nieszczęsnych sojuszników.

... Czwartego dnia o świcie stu lotników niemieckich wzbije się w powietrze. Na odcinku frontu flandryjskiego od Lombardsyde do Ypres z dziesięciu dywizji angielskich i belgijskich nie ocalał ani jeden człowiek. Na głębokości trzech kilometrów od linii obronnej zapanowała śmierć. Kto przestąpił tę granicę, padał martwy.

... Mówi stacja iskrowa Königswüstenhausen. — Ostrzeżenia nasze minęły bez skutku. Śmierć osiemdziesięciu tysięcy dzielnych żołnierzy angielskich spada na sumienie kierownictwa frontu zachodniego. Główna Kwatera niemiecka oświadcza, że jutro, dnia nasze eskadry lotnicze ruszą na Paryż. Główna Kwatera oczekuje odpowiedzi do godziny..... W wypadku odmowy nawiązania rokowań w sprawie kapitulacji, jutro o świcie wejdą w wykonanie wyżej zapowiedziane zarządzenia. Główna Kwatera boleje nad

losem świetnej stolicy Francji, ale oświadcza, że postanowienie jej jest niezłomne.

Tajny radca profesor Wager upajał się tą wizją, jak dziecko, porwane czarodziejską baśnią. Przeżywał ją, przerabiał ją na tysiąc odmian i warjantów, opętany wyobraźnią. Podniecało go to do pracy. Zaprzągł do niej najlepsze siły naukowe i techniczne. Powagą swego imienia zdobył wielkie środki materialne. Za punkt wyjścia poszukiwań służył mu zdobyty już Żółty Krzyż, przewany przez nieprzyjaciela „yperitem“ od pierwszej hekatombi pod Ypres, gdzie położył 15.000 trupów. Nowa substancja miała za zadanie spotęgować jego duszące działanie i razić przedewszystkiem drogi oddechowe, dławić i zabijać na miejscu. Dotychczasowy Żółty Krzyż był zbyt humanitarny, obezwładniał, przyprawiał o wielkie cierpienia, przewlekał wyzdrowienie, ale w końcu 95% porażonych przychodziło do siebie i prędzej lub później wracało na front. Nowy gaz powinien przewyciężyć każdą maskę. Winien trzymać się miejsca w ciągu kilku miesięcy. Miał być środkiem bojowym morderczym, idealnym, uniwersalnie skutecznym, nieodpartym.

Prace szły wartko, wszystko było na najlepszej drodze, na jedynej, prowadzącej do celu przez ścisły plan, przemyślany do najdrobniejszego szczegółu. I wraz z nowym rokiem zaczęły się powikłania, przykrości, niepowodzenia, które ciągnęły się już nieprzerwanem pasmem, wyrastając coraz to nowe, niespodziewanie pochodzące ze złej woli, z ignorancji, z intrygi. Mogło się zdawać, że jacyś tajemni wrogowie Niemiec sprzysięgli się, żeby szkodzić wielkiej idei, nękać ją i wreszcie zabić jedyną nadzieję zwycięstwa. Wyglądało na to, że sława i wielkość Wagera zaczęły dokuczać różnym dygnitarzom, małym zawistnym ludziom. Jego wymagania uważane były za zbyt wygórowane. Jego nowy plan produkcji chemicznej rzekomo rujnował przemysł. Neurasteniczni ministrowie udęczeni polityką, nie mający pojęcia o gazach, coraz to nowi podsekretarze stanu, z urzędu słuchający jeno podszeptów wielkich figur przemysłu chemicznego, cynicznych groszorbów, pasożytujących na wojnie, a w końcu tradycyjnie tępi, zatępiali na pruski sposób generałowie — oto oka olbrzymiej sieci, w której uwikłał się przełomowy zamiar „twórcy zwycięstwa“. W zasadzie przyznawano mu słuszność i odmawiano reszty, zabijano go komplementami, a na odczepne obwieszano nowemi orderami, jak gdyby przypuszczając, że tego tylko szuka, jak tyłu innych. Dobiło go przyjęcie w Głównej Kwaterze.

Teraz odpoczywał. Poraz pierwszy w życiu uczuł w sobie starość. Przyszła w tym strasznym mrocznym roku wojny, w najcięższej potrzebie ojczyzny. Śnać jest za stary, żeby sprostać wielkiemu zadaniu. Już nie zdoła przekonywać ludzi, narzucać im swoją wolę, ani przełamywać przeszkód. Łudził się, że gdy odpocznie, wrócą dawne siły. A może w ostatniej obieży, gdy spadnie klęska, zwrócą się doń ci wszyscy, którzy odtrącali go, dadzą miliony, oddadzą mu, co zechce — Wager, ratuj Niemcy! Będzie zapóźno, wszak i teraz właściwie jest już zapóźno....

Truł się gorzkimi myślami, palił cygaro za cygarem, patrzył bezmyślnie na dymiące kominy „Badische“, wzdychał nad niedolą Rity, dumiał nad otwartą szufladą biurka i niczego nie poczynając, zasuwał ją z powrotem, zamykał na dwa spusty i chował klucz do kieszeni.

(D. c. n.).



Rembrandt: Lisowczyk.

(Ze zbiorów E. Lunińskiego)

LISOWCZYK U REMBRANDTA*)

... Było w tej potrzebie wiele zwycięskich batalji, aż naostatku tych zabaw naszych nad Renem pociągnęliśmy pod Lüttich, wielkie i warowne miasto. Z Lüttich w kilka chorągwi do niewielkiej miejsciny. I tam gwałt. Mieszczanie ani spiży ani żywności dla ludzi nie chcą dawać. My do szabel i na rajców. Oni w nogi. Tedy rzekniemy: Wasza to może szlachta łowionemi szczurami po kanałach żywi się (jakoże słyshałem, iż ludzie mizerniejszej kondycji w państwie weneckiem tak czynią) — ale my, chleba u siebie dosyć mając, co przedniejszego szkapy — pszenicą karmimy. Było tam jeszcze gwałtu trochę, ale jak oberwał jeden i drugi po pludrach, wszystko znalazło się wnet. Ale jeszcze do *amittii* było daleko. Dopiero gdy ich białogłowy obaczyły, co to z nas za chwatki i do wszelakich frywolnych najmilszych rzeczy, chłop w chłop, naród, — nuże ku nam oko podawać, w oknach wystawiać swe wdzięki, a krygować się, a wzdychać. Niejednemu z naszych też i w to graj. Wąsa podkręcił, szablę na rapcie puścił i po kamieniach ostrogami

dzwonił. Łasy też ci byłem i ja na białogłowy pod owe czasy, że to przecie dwudziesty ósmy rok na kark ledwieże wskoczył. Idę sobie dnia jednego do niemeczki, słodkiej, jak lukier, co to w gospodzie pod Złotym Kogutem mieszkała, a tu ktoś z okna do mnie prawi o mało że nie w ucho, jakoto zwyczajnie w mieście, gdzie ulice wąskie bardzo, tak jakoby i u nas, podle Zamku, na Dunaju. Herr Ritter von... — powiada tamten do mnie, — proszę tutaj na małą rozmowę. Co miałem robić? Podróże kształcą. Wlazłem ci też i do niego. Nie żaden pan to był ni mieszczanin. Jakiś zgoła dziwak i niedowarzeniec ale z fantazją! Widziałem już raz takiego, kiedy sufit w zakroczymskim kościele *preciose* farbami stroił, ale ten wydał mi się odrazu na pierwsze wejrzenie godniejszy.

Jak mnie tylko ujrzał w swojej kwaterze, gdzie pełno było ruszowań a malunków, — zaraz za głowę ułapił się, jakoby z zachwytu i powiada: — Bitte! bitte! Obszedł ci też mnie dookoła, niczem jakoweś *curiosum*. Zgadłem odrazu, że się tak moderunkowi przygląda. Spoglądam ja, a ten i w gębę mi patrzy. Nic innego tylko fantazja moja udała mu się strasznie. A ostrogi miałem przednie, ciżmy rajtarskie

z czerwonej skóry, kontusz wojskowy wcięty, zielonkawy cały, czerwonym suknom podbity, pas nabijany srebrem, do tego kołpak modłą lisowską na bakier, — i piór czaplich dwa!

Patrzyłem się też górnice na warjata, który widać rycerskiego narodu nie znając, — niby *monstrum* mnie ogląda.

Nie znałem go, co za jeden i pytam, jak się zowie.

— Rembrandt, — powiada ci chutko z uśmiechem, — Rembrandt van Rjin, holenderczyk z Amsterdamu, jestem.

Nie zdało mi się takiemu rekomendować. Bo i po co? Albow to nie Bukowski, zakroczymski podsedek! Tamten zaraz chwycił pędzle i farby, i zaczął malować bez słowa. Zgadłem odrazu, że mój konterfekt chce uczynić, czem też i podbił mi bębenka. Stałem więc godnie i mocniej w kroku, zaraz też i pod bok wsparłem się, że to pychy więcej było podówczas we mnie, niż miejsca na nią. „Niemiec“ za pędzle i do płótna — a ja rzeknę do niego w ich języku, jak umiałem:

— Chcesz waćpan konterfekt zacnego *elcara*¹⁾ uczynić, to proszę, ale baw się mną niedługo (okrutnie do owej niemeczki pilno mi było)... baw się mną niedługo — powiadam — bo jeno krzynę mam czasu. Zaraz i tamten zaczął ów konterfekt malować prędkimi ruchy palców, a ukradkiem na mnie patrzył w podziwie. Wnet odszedł raz i drugi od płótna i przyglądał się swemu dziełu. Snać lubował się w swej sztuce srodze. Aż wreszcie po dłuższej chwili przeprosił mnie dwornie, jak umiał (co i dziwno, skąd taka gładkość obyczaju w tak mizernej kondycji) — i wyszedł podal do izby po jakoweś *instrumentum* swego lekkiego precederu. I stąd cała historia. On wyszedł, a ja dopiero teraz *stricte* mogłem rozejrzeć się po izbie. Obszerna była. Na ścianach obrazy świętych i rycrzy. Wiele też i pozaczynanych malunków. Patrzę dalej, a tu na stole kiesa z talarami jedna i druga, dalej kobierzec misternej roboty a dalej naczynia świecące, jakoby szczerozłote.

Patrzyłem się na owe splendory, ale nie w głowie mi było i bliżej pooglądać, bo cudze. Patrzę ja w inną stronę, a tam klinga o ziemię oparta szabla turecka najcudniejszej roboty. Aż oczy mienia się z zachwytu. Brzeszczot grawirowany złotem a rękajeść i pochwa (ta leżała na

¹⁾ lisowczyka.

*) Opowiadanie powyższe napisałem w formie fragmentu z pamiętnika. (Przyp. Autora).

ziemi) w jaszczur najpiękniej o-
prawna. Nie wytrzymałem tedy i
wziąłem owo cudo do ręki. Wygią-
łem brzeszczot, aż szpic klingi gar-
dy dotknął. Wyprostowała się za-
raz z radosnym furkotem, jakby
chciała powiedzieć: — Patrz, jaka
jestem gibka i *gloriose*. Coś powia-
da mi: — połów bo nie twoje. Ale
łatwiej powiedzieć a trudniej z rę-
ki wypuścić, kiedy raz chwyciło się.
Co tu było i namyślać się, — sprze-
dałby ci kto taką sztukę lub doro-
wał! Ja szablę tedy pod pachę, —
i w nogi. Tyle też i widział mnie
ów pan Rembrandt.

Zaraz też zaniósłem owo cudo
na swoją kwaterę i pacholowi pod
pieczę oddałem, — ale sumienie
mnie gryzie. Złodziej jesteś — po-
wiadam sobie i tylko tem pocie-
szam się, że miasto ścianę podpiera-
ć u pacykarza, szabla teraz na
rycerską sławę lisowczykowi słu-
żyć będzie.

Poszedłem tedy po obiedzie do
niemeczki, zdaleka omijając dom
mego przygodnego dobrodzieja. A
nuż huczek powstałby! Myślałem
też sobie, rzucę temu malarzowi
przez okno kiesę z dukatami — a
tak będzie miał nagrodę za ową
klingę. Ale bogać tam. Przez całe
popołudnie zabawiałem się winem
a nieprzystojnymi uciechami u nie-
meczki (zwyczajnie, jak to w mło-
dości), że i przywlokłem się do obo-
zu nad ranem. Stawiam tedy kroki
jeszcze jakoby nie na tym świecie,
— a tu słyszę: — przed namiotem
rotmistrza przez mundsztuk na po-
gotowie grają. Ja do konia i pocz-
towych. Zaraz też ledwie zdążyłem
na kulbakę skoczyć, jak szyk sta-
nął. Pociągnęliśmy wielkimi cho-
dami mil ze cztery. Ale sumienie
wciąż gryzie i woła: Złodziej panie
bracie jesteś, choć Bukowski a zło-
dziej! Rycerska to rzecz broń kraść
choćby i Niemcowi. Nawet nie opła-
ciłeś się ową kiesą.

Jechał z nami nasz kapelan, je-
den franciszkanin z Konojad,
ksiądz Dembołęcki Wojciech. Ja do
niego, jak w dym. Wyspowiadam
się, to mi lżej będzie. Powiedziałem
tedy kapelanowi wszystko a i wię-
cej jeszcze. Zwyczajnie jak to na
wojnie a nie w klasztorze. Powie-
działem, a ksiądz zcierwienił ca-
ły z alteracji i dopiero po chwili
rzecze:

— Takiś to synu chrześcijanin.
Tyleś to hultajstwa napłodził. To
sobie tak poczynasz, jakoby cię ja-
kowyś *satanas* miał już za swego.
Dziewki uwodzić, wino spijać, broń
wynosić, jeśli ci się udała, — toś
chwiał!

Zaraz też zasromane czoło opu-
ściłem na grzywę koniowi, boć i
górnienie i prawdziwie ten franciszka-
nin mówił. Wilkiem też patrzyłem
w ziemię, że to oczu i podnieść by-
ło trudno, tak ksiądz burczał, a ma-
chał przytem ręką, a groził, a za-
wzinał.

Nakoniec, kiedy pierwszy impet
gniewu minął, stępem w dyskurs
ruszył, i powiada:

— Bij się w piersi. Żołnierz
jesteś i pamiętaj, że jak grzeszy
człek mizernej progenitury to Pan
Jezus płacze, ale jak łże a niepra-
wości czyni żołnierz polski, *defen-
sor* wiary, to sam Hetman Niebieski
i wszyscy święci krwawymi słoza-
mi płaczą. Im więcej też komu da-
no, tem ci większa — powiada —
powinność do starania, do ostrogi
w życiu, do ochędóstwa, do prawa
i sprawiedliwości. W galop się ka-
jaj, niepoczciwy synu — powiada
— a ja proszę będę za ciebie Pana,
żeś to młodzik jeszcze i wary krwi
ci *sensus* popsowały, z czego wszy-
stkie nasze małe djabły polskie
Te Daemonum laudamus — do Bel-
zebuba w wiskach i piskach po twej
ojcowiźnie na Mazowszu zanoszą.
Ale Pan Bóg łaskaw. A ja jego mi-
zerny ciura, w pośladku szyku jeź-
dzący litościwszy, — nie jako owi
rotmistrze, co podług artykułów
naszych zaraz gardłem sądzą i ka-
rzą. Popuszczam ci wodze. Aleć
słuchaj, na coś przysięgał.

Wyjął zaraz z sakwy przy kul-
bace skrypt artykułów elearskich,
złożonych w Kole, i czytał wielkim
głosem, aż szkapa stękać pod nim
poczęła, z którego to czytania *sum-
matim* jeszcze większy dla mnie
wstyd.

— Art. XXV. Ktoby się ważył w
domach szlacheckich nieprzystoj-
nych uciech... albo tam cokolwiek
wziąć albo *brykać*, jeżeli towarzyszy,
gardłem ma być karany, jeżeli pa-
cholik, tedy ćwiertowany.

— Art. XXVI. Ktoby gwałt ja-
kiejkolwiek białogłowie uczynił, a
o to pozwany był, gardłem ma być
karany²⁾.

Zaraz też skończył czytać i łyp-
nął okiem ku mnie strasznie.—Wi-
dzisz — powiada — jaki to z cie-
bie żreback pośledni, niecnota!

Jeszcze rzec chciałem, że co o
klindze, to o klindze, i że nie z chci-
wości a z rycerskiej fantazji, ale że
białogłowy to już nijakiej nie uwio-
dłem, boć sama najmilej tego chcia-
ła. Ale niechta! Co tam miałem i
więcej gadać, kiedy ksiądz trząsał

²⁾ Artykuły elearskie w Kole ich ge-
neralnym Kłatowskim złożone 19 Junii A.
D. 162., ks. Dembołęcki Wojciech. str. 73.

się cały ze złości na kulbace, że
brzuszyśko latało mu niby w febrze.
Sapać też zaczął, niby miech ko-
walski.

Wreszcie dał taką pokutę, że mi
oko zbiełało. Na końcu tego respon-
su tak rzecze:

— Kupida, Bachusa i Wenerę,
niecne bożki pogańskie, zduś w so-
bie, popręga podciągnij, na mund-
sztuku żądze, aby nie wierzgały,
trzymaj, na wytok bierz się! Szablę
zatrzymaj, na kościół, com ci rzekł,
daj, heretyków i pogan ową szablą
bijaj,—a służ Panu przez całe życie!

Myślałem, że gorzej będzie.

Wiele było jeszcze pięknych
przewag, aż wracaliśmy jakoś pod
wiosenne siewy Anno Domini 163,
do ojczyzny. Szliśmy do Rzcuplej
przez Czechy, alem w Pradze za-
chorzał. Leczył mnie tam pewien
medyk samego pana Hieronima don
Karaffy de Montenegro radcy
flandryjskiego sługi, co się do na-
szych wojsk przyczepił i dziwnie,
(jako że hiszpan rodem) nas sobie
upodobał.

Ten rzekł mi, gdym ozdrowiał:

— Inne nacje naprzód idą a my,
(widzę to po was) my polacy i
hiszpanie ciągle jeszcze na swoich
własnych a obcych karkach szablą
i krwią pieczętujemy się. Przyjdą
takie czasy, ów medykus powiada,
— że *signum* z krwi i brzeszczotu
już nie wystarczy.

Doszło mnie też już w domu, że
ów malarz zgoła sławnym mistrzem
został i niebylejakie honores od
ludzi znacznych otrzymywał, co i
dziwno mi, bo i za co! jakoże to
nas za życia nawet najprzedniej-
szym nie we zwyczaju nagrodę
płacić ni zaszczytem. Powiadali też,
że jeden jeździec z wojsk lisow-
skich roztruhan piękny z kwatery
owemu Rembrandtowi ściągnął —
co jest prawdą albolii łgarstwem.
Czegobo też i ludzie nie powiedzą.

Jakoż szczęśliwie wróciło się do
domu na Mazowsze i od tego cza-
su stadniki doglądam, pszenicę
spławiam, z włodarzami gwarzę a
podgolonym łbem w zakrocym-
skiej farze o posadzkę tłukę, za
wszystkie grzechy tego żywota.

Szabla pana rembrandtowa w iz-
bie wisi na pamiątkę albolii i na po-
trzebę (o co, jak to i zawsze u nas,
— nietrudno), a co do słów owego me-
dyka-hiszpana o brzeszczocie i o
krwi, — to jaka w nich racja, nie
wiem... Niech inni nad sciencjam:
biedzą się... Co mi tam... Druków
nijakich ni czytam ni trzymam...

...Piwniczkę mam w pieczy... Nul-
lum vinum hungaricum!...

Janusz Wilatowski